

Charles Maurras, Kultura klasyczna wciąż żywa (przeł. Łukasz Maślanka)

Sześć, siedem, osiem, a nawet dziewięć lat spędzonych na studiowaniu języka, instytucji, historii i myśli starożytnych dodaje do godności ludzkiej osoby wartość cywilizacji, która ją uformowała



Sześć, siedem, osiem, a nawet dziewięć lat spędzonych na

studiowaniu języka, instytucji, historii i myśli starożytnych dodaje do godności ludzkiej osoby wartość cywilizacji, która ją uformowała.

Zdarza się czasem spotkać, nawet w środowisku ludzi jak najbardziej wykształconych i zajmujących wysokie stanowiska, takich, którzy rozczarowują. Nie brakuje im ani wykształcenia ani tego, co potocznie nazywamy kindersztubą. Wysławiają się wcale nieźle. Czasami logicznie myślą i całkiem porządnie się prowadzą. Jednak zadziwiają

ograniczonością swoich horyzontów. Można powiedzieć, że wąska współczesność przykleja im się do butów. Poczucie dziedzictwa przeszłości i znaczenia dawnych wydarzeń w analizie tego, co może się stać, są im również obce. Mówimy im o tym. Równie dobrze, można by śpiewać. Staramy się im wytłumaczyć wagę zdarzeń czasowo odległych, lecz widocznych, a czasami aż rzucających się w oczy. Oni ledwo zdają sobie z nich sprawę. Tymczasem ich wymowa wskazuje na dość wysoki poziom wykształcenia. Zapytujemy się z przerażeniem: „Czego im brakuje?”. Pewien wykształcony i doświadczony człowiek odpowiedział mi: „Ich brakiem jest to, że nigdy nie odmieniali "rosa, rosae"”. Oto wyjaśnienie! Czy dotyczy ono wszystkich przypadków? Na pewno tu i ówdzie zdarzają się wyjątki. Ludzie, którzy całkiem sporo naodmieniali się w życiu „rosa, rosae” mogli popaść w inercję i automatyczność. Inni, pozbawieni tej przyjemności, mogli zapełnić tę lukę dzięki swojej inteligencji i zdolności do refleksji. Generalnie i przeciętnie możemy jednak stwierdzić, że nic nie jest bardziej widoczne niż deficyt kultury klasycznej. Traktujemy to jako wielką wadę nie samej duszy, lecz rozumu, na tym odcinku, który służy przewodnictwu i oświecaniu duszy. Znane mi są wszystkie dowcipy, dla których inspirację mogły stanowić deklinacje, koniugacje i pedagogzy. Im bardziej wykształcony umysł, tym częściej je powtarza. Absolwenci Grandes Ecoles, tacy jak Frary[1], się w nich specjalizowali. Te wszystkie bzdury w niczym nie zmieniają faktu, że francuszczyzna jest językiem arystokratycznym i posiada korzenie, które tkwią w jej mowach-matkach. Każdy kto posiada choć powierzchowną znajomość greki i łaciny, mówi po francusku lepiej, gdyż posiada świadomość sensu i pochodzenia obecnych w naszym języku słów. Ignorancja w tej podstawowej dziedzinie jest chyba jednym z głównych czynników, który szkodzi reprezentantom politycznym i społecznym tego energicznego, inteligentnego, błyskotliwego, lecz, od lat przeszło stu pięćdziesięciu, wystawionego na pastwę trybunów jarmarcznych ludu. Wystarczy odwołać się do jednej z tych niezliczonych debat,

prowadzonych w środowiskach mniej lub bardziej wykształconych, którym dało pretekst słowo „demokracja”. Ilu było gadułów i gryziopiórków, tyle sensów nadawanych temu terminowi, który jednak nie chce znaczyć nic innego jak rządy ludu za pośrednictwem ludu, a nie wszystkie inne bardzo szczytne wartości, takie jak miłość czy miłosierdzie! Pewnego dnia, jakieś czterdzieści lat temu, aby położyć kres temu sporowi, wymyśliliśmy, mój przyjaciel, Henri Vaugeois, i ja, że udało nam się odnaleźć bezcenny skarb w postaci słowa „demofilia”, który ma oznaczać miłość do ludu. To było jasne. To było stanowcze. Pasje i interesy okazały się jednak zbyt silne. Nie mogły wyzbyć się przywileju posługiwania się słowem w nadziei, że nikt nie zrozumie jego sensu. Ktoś mi powie nie bez racji: „Zapominasz o kobietach. Jak one pięknie się wysławiają! Jak wiele z nich wspaniale pisze mimo tego, że nieliczne przykładały się do łaciny tak jak pp. la Fayette czy de Sévigné.” Mógłbym powiedzieć na ten temat wiele rzeczy, czasami całkiem komicznych. Odkąd te damy nauczyły się posługiwać naszymi wielkimi hasłami, i odkąd najbardziej urocze z nich nadużywają ich do granic wytrzymałości, wydają się być bardzo zaaferowane i zakłopotane, a często bardziej wściekłe niż zdziwione, kiedy wyjaśni się im ich prawdziwe znaczenie. Uświadomione, przysięgają, że nigdy więcej ich nie użyją. Ale, popatrzcie, żyły w nieświadomości! Tajemnica języka zwiodła i je na te manowce! Dlaczego nie zwiodła ich gdzie indziej? I dlaczego nie ma francuszczyzny żywszej, naturalniejszej i bardziej trafnej od tej, jaką posługują się niewykształcone Francuzki? Jak one zawsze potrafią znaleźć właściwe słowo bez szukania go! Jakim skarbcem trafności jest ich zasób słów! Jak wypowiedane przez nie określenia znakomicie oddają stan rzeczy! Jest tak nie tylko dlatego, że ich świat, świat uczuć, doznań, codziennego życia i abstrakcyjnych idei należy właśnie do nich samych. W tej ostatniej dziedzinie łatwo przecież dwuznaczności i absurdu. A jednak nie dopuszczają się ich. No dlaczego? Trzeba wziąć pod uwagę wpływ Kościoła, do którego chadzają one częściej od mężczyzn. Kościół katolicki, przynajmniej

oficjalnie, nie modli się po francusku[2]. Zwyczaj czytania mszy i świętych pieśni ma na nie większy wpływ niż się sądzi. To nie jest wcale bezowocne, kiedy bystre oczy nieustannie krążą między tekstem a tłumaczeniem, tłumaczeniem a tekstem. Jednak prawdziwą przyczyną jest to, że kobieta posiada życie wewnętrzne nieporównywalnie głębsze od naszego. Sprawia to, że sposób użycia słów, wrażliwości na ideę, i jej związek z rzeczywistością, są dla niej przedmiotem nieustannej i ciągłej analizy, która się dopełnia, koryguje i prostuje sama z siebie, prawie bezwiednie. Wybór, ta boska część wszystkich sztuk; gust, który jest jej wyższym probierzem, szalone pragnienie bycia zrozumianą i wysłuchaną, nadają kobiecym słowom szybkość, lotność i moc ekspresji, której męska gadanina nigdy nie osiągnie. Ale, jak dotąd przynajmniej, wielkie spory życia światowego dochodzą do nich tylko z drugiej ręki, ze względu na ich rolę matek, córek, kochanek albo sióstr. Pozostają dwie ewentualności: niezręczności męskiego języka, dotykającego jedynie w nieznacznym stopniu bogactwa ich życia duchowego, nie pozostawiają na nich żadnego piętna, albo dochodzi do głosu ich potężna zdolność asymilacyjna, która zbiera dookoła wystarczająco dużo „rosa, rosae”, aby mogły się uchronić przed pomieszaniem pojęć. Życie francuskich kobiet toczy się w rytmie bardzo energicznym i coraz częściej zapoznają się one z kulturą łacińską. Tam, gdzie nie jest to zwykłe pozerstwo, albo chęć zajęcia męskich stanowisk, można zaobserwować piękny postęp moralny i społeczny. Ten wspaniały awans można porównać tylko do tego, który uzyskali po wielu latach energicznych starań, dla swoich młodych kolegów, nauczyciele szkół podstawowych. Chodzi o prawo wstępu do liceów i na fakultet filologii klasycznej. Chciano ich od tego odwieść przytaczając wiele bzdur, takich jak słynne listy zawierające etymologie poszczególnych wyrazów, które miały im przybliżyć ich znaczenie i pochodzenie. Tak jakby o to chodziło! Tak jakby rozwiązanie problemu miała przynieść czerwona lista sporządzona przez naszego kochanego Larousse'a! Dobrze to ujął pewien stary pedagog: to byłaby wiedza, a

nie kultura. Kultura klasyczna jest stanem rzeczy wytworzonym przez zwyczaje, tradycje, przez długi czas przenikające do ludzkich umysłów, aż nie uwrażliwią się na więź, która istnieje i łączy nas poprzednimi pokoleniami. Wskazuje na ich obecność i znaczenie we współczesnym świecie. Sześć, siedem, osiem, a nawet dziewięć lat spędzonych na studiowaniu języka, instytucji, historii i myśli starożytnych dodaje do godności ludzkiej osoby wartość cywilizacji, która ją uformowała. Pozwala to poczuć się dziedzicem tego bogactwa i nabrać świadomości swojego związku z nim. Jednym z efektów romantyzmu było oczernianie starożytności i przeciwstawienie jej średniowieczu, co jest oczywistym szaleństwem. Wieki średnie były przepełnione starożytnością: Augustyn karmił się Platonem, Tomasz Arystotelesem. Najskromniejsi wierszokleci, tacy jak Owidiusz, byli wtedy przyjmowani jak Boskie błogosławieństwo. Wielcy myśliciele XVI i XVII stulecia wzbraniali się przed przeciwstawianiem humanizmu religii. Szukali punktów stycznych, harmonii. Jeżeli chodzi o pewne wady tamtych czasów, to czy nasza epoka się sobie przygląda? Zakładając, że życie wtedy było ciężkie, to czy nasze, ze wszystkimi krzywdami chłopstwa, próbami wtłaczania robotników w gorset racjonalizacyjnych systemów taylorowskich, nie ma sobie nic do zarzucenia? Jakież złośliwe ręce splotły prostacki wieniec z tego wszystkiego, co szokuje nas w starożytności, a następnie powiedziano nam: „Patrzcie, Antyk gardził pracą!” A przecież to nie współczesny poeta pozostawił tę wytworną zachętę: *Labor omnia vincit improbus*[3] „pracą wszystko można pokonać, jeżeli jest wytrwała”. Również żaden ze współczesnych twórców nie poświęcił czterech najpiękniejszych ze swoich utworów pracy na roli. Tamten nazywał się Wergiliusz, a jego Georgiki nie są pochwałą nieróbstwa. To prawda, że szczyt efektywności pracy niewolniczej objawił się w konstrukcji piramid, ale nie zapominajmy, iż Egipt to nie Grecja: Akropol Peryklesa i Partenon są owocem pracy ludzi wolnych, niewolnicy byli z niej wykluczeni. Jeśliby starożytni uznawali pracę za próżny znój, to jak mogliby wytworzyć tyle cudów,

począwszy od subtelnie dekorowanej porcelany, a skończywszy na monumentach, które łączą w sobie wspaniałość i wytworną delikatność? To, co z tego zostało, wystarczająco uwyrażniało idee chwały i miłości, aby nie ulec później sposobowi życia Ostrogotów. Pewne znane zdanie z Saint-Beuve'a, zabawne i zręczne, zdaje się przemawiać prawie bezpośrednio do współczesnych. Pyta się każdego z nich: „czy czytasz Homera?” Należałoby się zapytać o innego znakomitego autora: „czy czytasz Terencjusza?”. Gdyby czytali, ujrzeliby starożytność bez upiększeń, żyjącą, naszkicowaną z perspektywy Aten pozbawionych już wielkich ambicji politycznych, ale za to oddających się urokowi spraw najbardziej ludzkich. Doskonałość nie jest przeznaczeniem tego świata, ale każda jej rzadka część ma swoją cenę; ile tu wzniosłych uczuć, jaka łagodność, jaka gracia! Możemy zrozumieć, dlaczego nasi przodkowie mieli fioła na punkcie Terencjusza; był on mistrzem dla największych: La Fontaine'a, Racine'a. „Głupi wiek dziewiętnasty” zupełnie o nim zapomniał. Prócz Anatola France'a i Frédérica Plessis nie znam nikogo, kto by się nim zajmował. Pewien poemat Baudelaire'a, pt. „Heauton timorumenos”, co oznacza „Człowiek, który sam się bije”, który stanowił także tytuł jednej ze sztuk Terencjusza, doprowadził do zupełnego wypaczenia jej sensu i tematu. Ten człowiek jest, u Terencjusza, ojcem, który martwi się, iż zbyt surowo potraktował syna. Nakłada za to na siebie ciężkie prace, aby odpokutować swój błąd. Chciałbym się zapytać, czy taki koncept może przynależeć cywilizacji pozbawionej łagodności i miłosierdzia. Inna sztuka, „Hekyra” prezentuje nam typ teściowej (tak, teściowej!), której wyrafinowana dobroć, także w stosunku do swojej synowej, stanowi wzór i wyzwanie dla wszystkich teatrów świata. Przyznacie, że ma to niewiele wspólnego z walkami gladiatorów. Ale komuś zależy na tym, aby mieszać epoki i miejsca, rzeczy i ludzi, aby mieszać wszystkie pojęcia. Jest rzeczą tak naturalną i oczywistą, że kultura klasyczna, bardziej nawet w porządku sztuki niż obyczajów, udoskonala życie, umysł i rękę człowieka. Romantycy (zawsze oni! wszędzie oni!)

wierzyli w naturalną wyższość dzieł spontanicznych, wytworów niewykształconego umysłu i głów nieobeznanych z alfabetem. Doświadczenie poetów-chłopów i poetów-robotników nie potwierdziło tej bzdurki. Jeden z nich był jednak geniuszem. Ale ci, którzy poznali Charlesa Rieu[4] z Paradou, wiedzą, że był on przesiąknięty humanizmem, przejętym od Mistrala (jego samego zresztą „pastuchem” mógł nazwać tylko Lamartine). Rieu wbił sobie do głowy, że przetłumaczy „Odyseję” i zrobił to. Nie tylko Życie, przez duże Ż, nie jest w opozycji do tego, co w sztuce najbardziej wymyślne i subtelne, ale to właśnie na pograniczu nauki i życia powstały największe arcydzieła. Aby wziąć jeden z tysiąca przykładów, jedyny istotny poemat napisany przez naszego żołnierza z lat 1914-1918, wyszedł z ręki Jean-Marc Bernarda[5]. Bernarda, który przed wojną był młodym adeptem w szkole Moréasa[6] i znał dziedzictwo wielkich mistrzów, stać było na ułożenie pięknych ód ronsardiańskich: Tristanie, do pucharu wleją jak najlżej Pianę złocistego trunku Podziwialiśmy te rymy, chwaliliśmy jego gust, porównywaliśmy go z przodkami, do których nawiązywał. Nadszedł czas próby i znoju. I to właśnie wtedy, kiedy to serce zostało złamane, z tej błyskotliwej głowy, gotowej przekazać wszelkie wzruszenia, wyszedł słynny „De Profundis”, tak naturalny, że prawie brutalny w swoim bólu i w swojej nadziei: Z głębokości okopów wznosimy ręce do Ciebie, Panie... Oświeć nas w tym marazmie, Pociesz nas i wygnaj lęk z serc naszych dna, natchnij w entuzjazmie Niby nic prostszego, ale trzeba było znać swój język, swój zawód i swoje rzemiosło. Inny przykład. Chyba nikt nie ma wątpliwości, kto był największym, najbardziej energicznym, bezpośrednim spośród wszystkich poetów opiewających i potępiających Rewolucję zwaną francuską? Ale, jak sam o sobie mówi, André Chénier „miał lat dwanaście, gdy, w dolinach wiedzy, zbierał poetycki miód”[7]. Żył starożytną Grecją. „Antologia” Bruncka[8] nie opuszczała jego biurka. Znał zresztą na pamięć wszystko, co wielcy poeci wszystkich czasów powiedzieli wielkiego w w hymnach i pieśniach. Artysta, teoretyk,

filozof – żył naraz wszystkimi stuleciami. Ale, kiedy zmuszono go, aby żył swoim własnym, a było ono niegodne, kiedy przyszło mu potępiać „katów gryzmołących prawa”[9], którzy mieli mu odpowiedzieć gilotyną, jego język, rytm były tak samo gotowe jak jego grom i rzemień. Wiadomo, że udał się na szafot bez peruki i rękawiczek. Pozostał jednak uczniem Homera i Przewodnikiem Muz. Ten z jego poematów, który najbardziej obfituje w mściwe pokrzykiwania, w którym pojawia się słowo, jakiego wypierał się nawet Cambronne[10], zaczyna się od najpiękniejszego dystychu w historii naszego języka: Diamencie opasany lazurem, o Paros, ślepię Grecjigwiazdo wybuchająca z egejskiej fali[11] Była to dobra synteza tego, czym raniły go współczesne czasy z tym, co nakazywał mu opiewać najszlachetniejszy antyk. Pewnego dnia, otworzyłem swój tomik Wergiliusza, aby odnaleźć pierwsze słowa heksametru VI pieśni, w której Anchizes wychwala wielkiego Fabiusza za to, że wszystko ocalił, niczego nie poświęcając: Unus qui nobis cunctando restituit rem... [12] Ale, kartkując tę książkę, nie mogłem się powstrzymać od lektury pierwszych Eklog. I coś mnie trafiło, porwało, zniewoliło od pierwszego wyrazu! Jakie to uderzające! Wszystkie nasze cierpienia, nasze bóle pozostają aktualne w świetle tych wiecznych strof! Emocje związane z opuszczeniem Ojczyzny! Chaos i nieszczęścia, które spotykają człowieka, gdy przemierza nieznanne drogi. Żniwa zmarnowane albo rzucone „Barbarus has segetes”[13]. Miłosierna gościnność prostych ludzi i dziękczynne wołanie do przybywającego z pomocą półboga. Moją uwagę przykuł szczególnie jeden fragment. Były to cztery albo pięć standardowych wersów, niezwykle wysublimowanych, stanowiących powrót do tematu wyświechtanego i banalnego, którego Wergiliusz z pewnością nie wymyślił, i który powtarzany był po nim przez setki poetów. Aby wyrazić ogrom swojej wdzięczności, poeta deklaruje się niezdolnym do zapomnienia przysługi, tak jak ryba do maszerowania po lądzie, jeleń do latania w powietrzu, Part do picia wody z Saony, a Germanin z Tygrysu. Znalezienie w tym miejscu

szkolniackiego wersu, chociaż wytwornie skonstruowanego, sprawiło, że miałem ochotę przez chwilę przeklinać. Ale pewne wspomnienie poprawiło mi humor: pomyślałem o „Mireille”[14] i otworzyłem na fragmencie, w którym poganiacz bydła, Uriasz, udaje się na zaloty do młodej królowej gromady wiejskiej Micocoules. Jako że jest ona już zakochana w młodym Wincencie, wzbrania się. Czyni to najpierw bardzo nieśmiało, gdy Uriasz chwali Camargue[15]: „ - Młody człowieku, mówi królowa, w krainie bydła młode dziewczęta umierają z nudów.- Piękna Pani, gdy jest się we dwoje, nuda znika. Ale ona odpowiada:- Młody człowieku, mówią, że ktoś, kto poniewiera się po obcych krajach, pije gorzką wodę i słońce wypala mu twarz.- Nie, piękna Pani, cień sosny osłoni Twoje oblicze.- Tak, ale macie węże...- Jedzą je nasze flamingi i czaple, odpowiada wytrwały adorator. Królowa nie wytrzymuje:- Posłuchaj, młody człowieku, zbyt daleko od moich wiązków są Twoje sosny. On waży się na impertynencję:- Piękna Pani, księża i młode dziewczęta, jak chce przysłowie, nigdy nie wiedzą, gdzie leży ich chleb. Ten fatalizm obraża ją:- Młody człowieku, nie zależy mi na niczym innym, jak tylko na tym, aby jeść mój chleb z tym, kogo kocham. Ośmielony świadomością pewnej klęski na rzecz innego:- Piękna Pani, jeżeli jest tak właśnie, to daj mi swoją miłość. Mirella wydaje wtedy krzyk z głębi swojego serca:- Młody człowieku, otrzymasz ją, ale najpierw nenufary zrodzą winogrona, Twój trójząb wypuści kwiaty, te wzgórza roztopią się jakby były z wosku, a do miasta Baux[16] będzie się szło przez morze.” Poeta nie musiał już dodawać, że Uriasz odszedł jak niepyszny. Tak wspaniałą dostał odprawę! Ten szkolny koncept jest tak świeży i żywy, zajmujący i dramatyczny, jak w czasach Homera, albo kogoś jeszcze przed nim. Trudno sobie wyobrazić, aby Mistral, zanim nie kazał Mirelli śpiewać swego straszego „najpierw”, nie sięgnął do Wergiliusza. Nic nie upoważnia do tego, aby myśleć, iż napisał te wersy bez wspomnienia o Parcie, Germaninie, jeleniach i rybach wergiliańskich. Myśl jego splatała się z myślą Wergilego, podwójna

alchemia słowa i sztuki kazała wydobywać Mistralowi to, co w tej poezji było najlepsze, dobre, zupełnie słabe. Wydobywał z odległego dna stare skarby i dodawał elementy nowych, tak, aby pomnożyć ich wartość. Kultura klasyczna jest dziedzictwem. Im więcej wart jest dziedzic, tym bardziej ją ceni. To wspaniałe dobro nie może zostać odebrane przez tych ubogich duchem, którym zależy na swoim ubóstwie. Artykuł ukazał się w czasopiśmie „Candide”, dn. 3 listopada 1943 r.

[1] Raoul Frary (1842-1892), filolog i dziennikarz, był jednym z głównych przeciwników nauczania łaciny w szkołach. Tytuł jego dzieła, „La question du latin”, opublikowanego w 1855 r., został przejęty rok później przez Guy de Maupassanta, który, w jednej ze swoich nowel, przedstawia profesora łaciny zamienionego w sklepikarza.[2] Tekst powstał na 20 lat przed Soborem Watykańskim II.[3] Powiedzenie łacińskie zawarte w Georgikach Wergilego, I, 145-146[4] Charloun Rieu (1846-1924) poeta prowansalski, przyjaciel Mistrala, całe życie spędził we wsi Paradou (departament Bouches-du-Rhône).[5] Poległego na froncie 4 lipca 1915 r.[6] Jean Moréas (gr. Ioánnis A. Papadiamantópoulos, 1856-1910) – grecki poeta symbolistyczny języka francuskiego. Pochodził z zamożnej rodziny ateńskiej i, ok. roku 1880, osiedlił się na stałe we Francji. Pozostawał pod silnym wpływem paryskich poetów dekadencckich (szczególnie P. Verlaine'a). Na początku lat 90. XIX wieku zrywa z symbolizmem i próbuje założyć tzw. szkołę romańską, która mrocznej dwuznaczności północy przeciwstawiałaby elegancję i harmonię kultury śródziemnomorskiej.[7] „Sa langue est un fer chaud” w zbiorze „Jamby”.[8] Richard François Philippe Brunck (1729-1803) – erudyta, który w opublikował w latach 1772-1776 monumentalną antologię tekstów starogreckich.[9] „Comme un dernier rayon, comme un dernier zéphyre” w zbiorze „Poezje Ostatnie”.[10] Pierre Jacques Etienne Cambronne (1770-1842) – generał i bohater I Republiki Francuskiej. Pacyfikator Wandei, uczestnik kampanii włoskiej i rosyjskiej. Brał udział w bitwie pod Budziszynem, Dreznem, Lipskiem i

Hanau. Stronnik Napoleona po powrocie z Elby. W czasie bitwy pod Waterloo, odpowiedział nalegającym na kapitulację Brytyjczykom „Merde!” („Gówno!”), czego się następnie wypierał. Znane są inne jego słowa: „La garde meurt, mais ne se rend pas !” („Gwardia umiera, ale się nie poddaje!”).[11] „Ils croyaient se cacher dans leur bassesse obscure” w zbiorze „Jamby”.[12] „Jeden człowiek zwlekając przywrócił nam Rzeczpospolitą” : Fabiusz Maksymus Kunktator, po klęsce nad Jeziorem Trazymeńskim, postanowił niczego nie przyspieszać i skupić się na naprawie instytucji państwa i przygotować zemstę Rzymu na Hannibalu. Wergiliusz przywołuje tu dosłownie wers Enniusza, powtarzany także przez Cyserona i innych autorów – do tego stopnia wydarzenie to odcisnęło swe piętno na historii Rzymu.[13] „Barbarzyńca zbierze te plony” Wergiliusz, Bukoliki, I, 71.[14] Opera Frédéric Mistrala.[15] Camargue to bagniste obszary uformowane przez deltę Rodanu. Stanowią miejsce wypasu bydła, a obecnie hodowli ryżu. Znaczna część Camargue objęta jest ochroną ekologiczną w ramach Regionalnego Parku Naturalnego (najcenniejszym bogactwem naturalnym jest obecność flamingów w okresie letnim).[16] Les Baux-de-Provence – jedna z najpiękniejszych francuskich wiosek z dobrze zachowaną zabudową średniowieczną. Znajduje się w departamencie Bouches-du-Rhône.